BARBARA RADZKA

ur. 1949; Zwoleń

Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Lublin ; KUL ; studia na KUL ; Radzki, Stanisław (1900-1985) ; Radzki, Stanisław (1950-2005) ; Kiełsznia, Stefania ; PRL ; fotografia ; Scena Plastyczna KUL ; plac Litewski 2 ; Radzki, Adolf ; Kiełsznia, Stefan (1911-1987)

1. Praca w Bibliotece Uniwersyteckiej. Państwo Kiełszniowie

Urodziłam się w 1949 roku w Zwoleniu i w Lublinie po raz pierwszy pojawiłam się na studiach na KUL-u, zdawałam egzamin na polonistykę i tam zostałam przyjęta. Po drugim roku stwierdziłam, że to nie mój temat, nie moje hobby na pewno, a cały czas chciałam zdawać na historię sztuki, ale rodzice mi odmówili, mówiąc że wcześniej trzeba było pójść na korepetycje, a nie wybierać się na egzamin z pustą głową, no i przeniosłam się na historię sztuki po dwóch latach, początkowo na dzienne, potem na eksternistyczne i tu już będzie niestety chyba tajemnica do grobu zabrana, to znaczy nie, wszyscy o tym wiedzą, po prostu miałam trudności bardzo, bardzo dziwne, z jednym z księży profesorów. W każdym razie, kiedy chciałam już skończyć te studia, to on zmarł, jak już moje dziecko starsze było w siódmej klasie. Był już bardzo, bardzo wiekowym staruszkiem, no ale właśnie trząsł tam tą historią sztuki. W międzyczasie zaczęłam pracować w Bibliotece Uniwersyteckiej KUL-u. Wcześniej jeszcze byłam w teatrze Leszka Mądzika, który do dzisiaj bardzo miło wspominam, bo ja po prostu kochałam teatr, zresztą jeden z moich pomysłów to była szkoła teatralna, gdzie też mi właśnie rodzice zdecydowanie, odmówili uczestnictwa w pomocy jakiejkolwiek. No i ja zaczęłam pracować w bibliotece i tam poznałam właśnie panią Stefanię Kiełszniową, która pracowała w magazynach biblioteki. Nie znałam jej dzieci, nie znałam rodziny, oprócz męża, który przychodził codziennie po nią w porze obiadowej i razem sobie szli na KUL do stołówki. Wiedziałam też, że ma Stefan na imię. Zastanawiałam się, kim on był, ponieważ zawsze, jak patrzę na człowieka, to się zastanawiam, kto też to może być. Wydawało mi się, że był fryzjerem przed wojną, ponieważ tak wyglądał właśnie, tak sobie wyobrażałam fryzjera przedwojennego i takie właśnie miałam pojęcie, że on kimś takim był. A my z panią Kiełszniową nie miałyśmy aż takiego kontaktu, żebym mogła dowiedzieć się od

niej, czym mąż się zajmuje. W bibliotece KUL-owskiej było tak, że każdy, kto zaczął pracować, przechodził wszystkie działy, żeby nie było ludzi niezastąpionych. I ja pamiętam panią Kiełszniową tylko z czasów, kiedy pracowałam przez czas jakiś w wypożyczalni, ponieważ ona mi przynosiła książki z magazynu. Stąd ją znałam, no i stąd tego jej męża znałam, bo przychodził właśnie i ją odprowadzał. Nigdy u nas nie był, bo gdyby chociaż raz był, to pewnie bym się zastanowiła, pewnie bym zapytała, pewnie bym się dowiedziała, bo lubiłam takie rzeczy wiedzieć. Ja w ogóle słuchałam zawsze dawnych historii, tyle tylko, że mój mąż nie chciał słuchać. Wcześniej słuchałam z kolei opowieści o mojej rodzinie od mojej babci, no to ja jedna jedyna tylko słuchałam i rzeczywiście mam szereg wiadomości, już mi się czasami mylą różne rzeczy, nazwiska, daty, ale naprawdę szereg rzeczy znam.

2. Męża poznałam w teatrze

Poznałam męża mojego w teatrze, bo mój mąż w ogóle był z wykształcenia chemikiem i pracował na UMCS-ie, ale ponieważ był zainteresowany fotografią, w ogóle chciał kiedyś zdawać na operatorstwo filmowe, ale też rodzina nie wyraziła zgody, ponieważ teść mój uznał, że to nie jest zawód dla faceta, który ma być głową rodziny i że musi sobie coś sensownego wybrać. No, na prawo też nie pójdzie, ponieważ nie ma prawa, jest bezprawie, no więc mój mąż wybrał się na chemię. Ale robił sobie różne kursy, między innymi u [Krzysztofa] Zanussiego jakieś takie filmowe, tutaj zresztą na zamku miał Zanussi spotkania właśnie z fanami fotografii. No i właśnie robił zdjęcia do spektaklu Mądzika i tak żeśmy się poznali. Tutaj jeszcze śmieszna historia, ponieważ ja się jestem w stanie pochylić nad każdą ofiarą. Mój mąż, jak przyszedł zrobić te zdjęcia, był taki stremowany, dziewczyny się tam z niego podśmiewały i pękł mu rękaw od koszuli. A ponieważ one się już zaczęły tak straszliwie nabijać, więc mi się go żal zrobiło, no i zaczęłam z nim rozmawiać. No i to przesądziło sprawę, bo w ogóle naprawdę nie miałam żadnej jakiejś tam [śmiech] innej intencji, broń Boże, ale mój mąż zaczął mieć, także w [19]74 pobraliśmy się, ja wtedy pracowałam w tej bibliotece.

3. Historia mojego teścia

Mój teść właśnie skończył szkołę Vetterów, miał się wybierać do Szwajcarii na studia, kiedy otworzyli właśnie KUL, no i zaczął studiować prawo, a potem ekonomię. W [19]20 roku oczywiście brał udział w bitwie warszawskiej razem ze swoim ojcem, który był, nawiasem, endekiem i był rajcą miejskim. No i po bitwie warszawskiej wrócił na studia, skończył te studia, był w ułanach, w jakimś korpusie wołyńskim. Miał nawet album, ale kiedyś oddałam takiemu panu, który właśnie był chyba w tym pułku i on w ogóle, jak się dowiedział, że mój teść ma album, to już było po śmierci teścia, to w ogóle obiecywał mi złote góry za ten album, więc powiedziałam, że jeśli mu tak bardzo zależy, to oddałam. Ale mam to w dokumentach, gdzieś tam jeszcze widnieje nazwa tego korpusu. A w czasie wojny, w [19]39 ten jego korpus był w kawalerii i

został rozwiązany czym prędzej, jak weszli Sowieci. Teść wrócił do Lublina i zaraz w październiku został zgarnięty i osadzony na Zamku. Wyszedł z tego Zamku, po czym niebawem został zgarnięty i był jednym z pierwszych więźniów Oświęcimia, a później jeszcze w Groß-Rosen, w Oranienburgu, także po wojnie wracał z Niemiec i też cudem jakimś ocalał po raz n-ty. Gdzieś tam zatrzymał się na jakiejś parafii i przed nocą, zmęczony potwornie, odszedł jednak z tego domu parafialnego, a do rana z tej parafii nie zostało nic, weszli Niemcy czy Sowieci. Natomiast teść wojnę przeżył i zmarł [19]85 roku. Tu w ogóle prowadził praktykę adwokacką do [19]74, bo wtedy wyszła ustawa świeża na temat emerytury adwokatów. I po [19]74 mieli obowiązkowo iść na emeryturę i koniec. Mój teść się chyba nie mógł z tym pogodzić do końca, ponieważ on po prostu żył tą swoją pracą i on codziennie rano wychodził do sądu. Rzeczywiście miał swoich przyjaciół, młodych adwokatów, którym zlecał swoje sprawy, to znaczy on je prowadził, a oni tylko swoim nazwiskiem je pieczętowali. Teść zmarł nagle, a ponieważ kancelarię miał w domu, więc z moim mężem chcieliśmy zrobić remont w tej kancelarii, no i żeby zrobić ten remont, to musieliśmy wyczyścić całą kancelarię. Było tego mnóstwo, tych papierów, pełnomocnictw, no to w ogóle były niesamowite ilości. W [19]85 roku 35 tysięcy zapłaciliśmy za wysłanie listem poleconym dokumentów za granicę. A ja zarabiałam wówczas 1800. Nikt się nie odezwał, żadnego zwrotu nie było, w związku z czym wszystko chyba trafiło pod właściwy adres. W [19]89 rozdzwoniły się telefony w sprawie dokumentów, które są przechowywane na pewno u mecenasa, bo to o różne rzeczy chodziło, między innymi o jakieś tam sprawy majątkowe. Więc naprawdę ludzie mnie straszyli sądami, w ogóle Bóg wie czym. Ja już nie trzymałam przecież dowodów nadania po tylu latach, no cztery lata, ileż to można trzymać, w każdym razie zostały wyrzucone.

4. Podczas remontu znaleźliśmy zdjęcia

Podczas remontu znaleźliśmy filmy i znaleźliśmy odbitki. Właśnie, jak mój mąż zajrzał w te negatywy, no to stwierdził, że jest to stare miasto żydowskie, no i coś z tym trzeba zrobić, w każdym razie do wyrzucenia się to nie nadaje. Dokładnie obejrzał, mówi: „no, rzeczywiście, ciekawe są te zdjęcia, ktoś musi to przejąć”. Jedyny kontakt żydowski, jaki mieliśmy wówczas, to z rabinem z gminy żydowskiej lubelskiej, która się mieściła przy Lubartowskiej, Lubartowska 10 chyba. Ponieważ, mój teść w jakiś tam sposób prawny pomógł temu rabinowi, to co roku dostawaliśmy paczkę macy na Wielkanoc. On przychodził, taki bardzo skromny człowiek, przynosił nam to, a potem zmarł, także już nawet ten kontakt się skończył. Ale ponieważ mój mąż miał znajomego w IBJ-ocie, to jest, Instytut Badań Jądrowych, Fus się nazywał ten człowiek, był adiunktem tam, to zadzwonił do niego z pytaniem, co on może zrobić z tymi zdjęciami. I on mu właśnie powiedział, że wyśle do nas takiego pana Symchę Wajsa, który się zajmuje właśnie historią żydowską Lublina i że na pewno bardzo się ucieszy. No i on rzeczywiście przyjechał, jeszcze ja sobie do męża żartowałam: „Słuchaj, co ja tutaj mogę zrobić, co ja mogę przygotować do jedzenia, wiesz,

jakiegoś koszernego?", ponieważ nie miałam zielonego pojęcia, że to trzeba mieć kuchnię koszerną przede wszystkim i tak dalej. Oczywiście on przywiózł sobie nawet herbatę swoją własną w termosie i w ogóle nic nie tknął. No, a ja byłam naprawdę zszokowana, pierwszy raz w ogóle [śmiech] miałam kontakt z czymś takim. A pan Symcha Wajs właśnie te odbitki układał, układał i płakał, tak płakał, że ponieważ ja jestem też wrażliwa, więc też razem z nim płakałam. Na tych zdjęciach było wszystko to, co się mieści między ulicą Lubartowską a Świętoduską, co historia zmiotła, więc to Stare Miasto i część tego z drugiej strony. No i pan Symcha Wajs oczywiście sobie to zabrał. Potem mąż zaczął pracować na Western University w Kanadzie i ja pojechałam do niego z dziećmi na wakacje i w międzyczasie właśnie pan Symcha Wajs przygotował wystawę, która miała miejsce w Domu Kultury przy Peowiaków, to był [19]89 rok albo [19]90, jakoś tak. Ja nic o tej wystawie nie wiedziałam, no wiem, że właśnie pokazał wtedy te zdjęcia i po powrocie dostałam tylko pocztą gazetę, „Midrasz", z recencją z tej wystawy. No i właśnie tam było napisane, że Stanisław Radzki, autor zdjęć i tak dalej. Mój mąż zresztą też miał na imię Stanisław. Dla wygody dostał to samo imię, żeby nie musiał teść latać na pocztę po odbiór listów poleconych.

5. Zdjęcia Stefana Kiełszni

Po jakimś czasie właśnie Teatr NN organizował wystawę żydowską, a ponieważ mój mąż przywiózł mi piękny album, „Żydzi w Europie" i między innymi właśnie też były tam zdjęcia Żydów polskich, więc pomyślałam sobie, że na pewno Symcha Wajs przyjedzie na tą wystawę, to ja wezmę ten album i pójdę. Mąż jakoś nie miał ochoty ze mną iść, ja wzięłam ten album i przyszłam. I rzeczywiście był pan Symcha Wajs, oczywiście poznał mnie, zresztą to nie była duża odległość czasowa, ale jakoś się dziwnie zachowywał. Zastanawiałam się, czemu, bo on był wcześniej taki bardzo wylewny, a teraz był już jakiś taki zdystansowany, ale pomyślałam sobie: no trudno, obejrzał ten album, oddał mi go i rozstaliśmy się, a ja, zwiedzając wystawę, zauważyłam, że pod każdym zdjęciem jest napis: „Stefan Kiełsznia", „Stefan Kiełsznia". Myślę sobie: co jest? Przecież to są zdjęcia mojego teścia, ale pomyślałam sobie od razu: a co tam? Nieważne. Ważne, że rzeczywiście ocalały i ważne, że w ogóle podjęliśmy taką decyzję, żeby tych zdjęć nie wywalić razem z jakimiś szpargałami, tylko żeby w ogóle coś z tym fantem zrobić. Później po paru latach moje dzieci chodziły do Liceum Pallotyńskiego i polskiego mojego starszego syna uczył właśnie pan Leszek Dulik. I właśnie powiedział mi, że przygotowuje album pod tytułem „Jerozolima Królestwa Polskiego" i że potrzebuje zdjęć żydowskich. A ponieważ ja w ogóle byłam zachwycona Teatrem NN, a on troszkę mnie chciał sprowadzić na ziemię i mi powiedział: „Wie pani co, ale oni są tak strasznie skąpi w informacjach, które mają, no na przykład bardzo by mi się przydały zdjęcia, które oni posiadają, żebym mógł je zamieścić w albumie, nie, nie zgadzają się na to". I ja mówię: „Panie Leszku, to w takim razie, coś z tym zrobimy, bo to są zdjęcia mojego

teścia”. I opowiedziałam mu historię całą tych zdjęć, na co on powiedział: „No, to jest niemożliwe, tak nie może pani tego zostawić, powinna pani jednak poprosić o zmianę autorstwa!”. Ja mówię, że nie o to mi chodzi. „No, ale skoro panu tak zależy na tych zdjęciach, to ja jeszcze przywiozę panu, bo na wsi jakaś resztka tych odbitek została, to ja je przywiozę i pan sobie z nich zrobi ewentualnie użytek. Przywiozłam te zdjęcia, on się bardzo ucieszył, za moment dzwoni, mówi: „Pani Basiu, one wszystkie wiszą na portalu Teatru NN i w ogóle mam zakaz używania ich”. A ponieważ go bardzo lubiłam, w ogóle to był świetny polonista, powiedziałam, że wobec tego wybiorę się do Teatru NN i porozmawiam o tym, że bardzo mi zależy właśnie na tym i że tak naprawdę mam jakieś prawa do dysponowania tymi zdjęciami. No i przyszłam do pani Joanny Zętar, bez tych odbitek, miałam właśnie jeszcze wtedy recenzję z tej gazety, z „Midrasza”. I ona to spokojnie przeczytała, siedziała jak Sfinks i ja się na szczęście nie awanturowałam, tylko powiedziałam, że mi bardzo zależy na tym, żeby pan Leszek Dulik mógł skorzystać z możliwości właśnie zeskanowania tych zdjęć. No i ona mi powiedziała, że nie, to nie są zdjęcia mojego teścia, że są to zdjęcia pana Stefana Kiełszni i zaczęła opowiadać mi historię, że on w ogóle kiedyś nawet przez radio chyba lubelskie opowiadał tą swoją historię, no i że jedyne, co łączyło mojego teścia z tymi zdjęciami, to właśnie fakt, że je przechowywał. Rzeczywiście pan Kiełsznia podobno bał się, ponieważ on siedział na Zamku z kolei po wojnie wsadzony przez NKWD, więc on się bał już wszystkiego, no i te zdjęcia przyniósł do mojego teścia, żeby mój teść je po prostu ukrywał. Widocznie sam o nich zapomniał, mój teść pewnie też, one po prostu tak sobie przeleżały. I pani Joanna Zętar prędko mnie przekonała, bo powiedziała mi, że każdy fotograf, w ogóle zdjęcie, to jest jak podpis, nie da się podrobić. I „tu są zupełnie inne zdjęcia pani teścia i zupełnie inne pana Stefana Kiełszni”. No faktycznie, bo jak mi właśnie powiedziała coś takiego, to ja się zaczęłam przyglądać, no i rzeczywiście. U pana Kiełszni to miasto żyje, jest cały czas w ruchu, natomiast mój teść robił takie zdjęcia statyczne, nad czym wcześniej się nie zastanawiałam, bo ja w ogóle się nie znam na fotografii jedna, jedyna w rodzinie. Moja mama robiła zdjęcia, mój wujek robił zdjęcia, mój teść robił zdjęcia, mąż, synowie robią, a ja mam aparaty, a nawet nie umiem pstryknąć. I to jest właśnie historia z tymi zdjęciami, a puenta jest jeszcze taka, że dziadek mojego męża był endekiem i był właśnie radnym miejskim i to był jego pomysł, żeby zlecić jakiemuś fotografowi udokumentowanie „zażydzonego” Lublina, ponieważ właśnie był antysemitą. A miał na imię Adolf, żeby było śmieszniej. Miałam też brata ciotecznego Adolfa, później wszyscy po wojnie zmieniali imiona na inne, no ale on nie dożył wojny na szczęście.

6. Jan Magierski i jego rodzina

Mój mąż się znał z Janem Magierskim, który też jest chemikiem, nawiasem, i ja się z nim umawiałam kiedyś, że spotkamy się i pooglądamy sobie wspólnie albumy, już jak mój mąż nie żył i że on może pomoże mi podpisać pewne rzeczy, pewne zdjęcia. To

było na wystawie Hartwigów w „Galerii Białej”. Niedługo potem Jan Magierski miał wylew. Boże, ja się tak strasznie przeraziłam, że już znowu sprawa spóźniona, a nie tylko zresztą, bo to naprawdę świetny człowiek. Bardzo mi było żal, bardzo było mi go szkoda, że tak nagle zachorował, ale kiedyś w końcu wybrałam się do niego. No, tyle tylko, że on mógł rozpoznać tam swoją rodzinę w moich albumach, ponieważ właśnie jego ojciec się przyjaźnił z moim. Nawet mieli otwierać w Argentynie fabrykę Kotgatu, tych nici takich chirurgicznych, w ogóle różne pomysły mieli przecież niesamowite. Poza tym przyjaźniła się cała rodzina. Magierski miał siostrę, Joannę, po mężu Szydłowską. Mam spinkę do włosów jej roboty, bo ona robiła cudowne rzeczy ze srebra. Była plastykiem i to w ogóle była piękna dziewczyna. Mam zresztą jej zdjęcia, mam jej „Madonnę z Dzieciątkiem” w srebrze zrobioną. To znaczy nie ja, tylko mojemu teściowi pewnie zrobiła, a spinka do włosów to nie wiem, w każdym razie mam ją jeszcze do dzisiaj. Więc Jan rozpoznał na zdjęciach tę swoją rodzinę i mógł mi pomóc tylko w tym zakresie. Część osób mi tam rozpoznał, a później, ponieważ miał kontakt z panem Grzegorzem Sztalem, to on kiedyś właśnie się umówił ze mną, bo widział u pana Jana Magierskiego moje albumy, które mu zostawiłam na wypadek, gdyby sobie coś przypomniał. W każdym razie ten Sztal zadzwonił do mnie z prośbą o obejrzenie albumów i w ogóle dokumentów związanych z teściem, ponieważ Muzeum Miasta Lublina robiło wystawę po kolei różnych szkół lubelskich, między innymi Vetterów, no to właśnie przyszedł, żebym mu pożyczyła różne rzeczy tam na tę wystawę, no i właśnie muszę to chyba jednak odebrać. Bo trochę mi szkoda, między innymi właśnie albumy rodzinne, no to nie odpuszczę tutaj.

Data i miejsce nagrania	2018-04-16, Lublin
Rozmawiał/a	Joanna Majdanik
Redakcja	Natalia Boczek
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"